

Andrzej Chmielecki

Kilka prawd o Prawdzie

(wykład inauguracyjny na Wydziale Nauk Społecznych
Uniwersytetu Gdańskiego)

Kiedy zaproponowano mi wygłoszenie tego wykładu, pomyślałem sobie, że jego tematem winno być coś, co będzie bliskie każdemu z obecnych, bez względu na reprezentowaną specjalność czy indywidualne zainteresowania. A cóż może być bliższego dla społeczności akademickiej, niż *prawda*? Nie tylko akademickiej zresztą, wszak byli tacy, którzy w imię prawdy szli na stos (oraz na stos posyłali). Sprawa jest więc nad wyraz poważna.

Jest jednak jeden mały szkopał. Oto w wydanej niedawno monografii poświęconej teorii poznania, jej autor problematyce prawdy poświęcił około 300 stron, co przekładając na wykłady wymagałoby lekko licząc całorocznego ich cyklu. Ja zaś do dyspozycji mam, jak mi przykazano, *circa* 20–25 minut. Nie spodziewajcie się więc Państwo zbyt wiele.

Chociaż... – obawiam się, że nawet to, co uda mi się w tak krótkim czasie powiedzieć, dla niektórych tu obecnych i tak będzie *za wiele*, jako że tezy, jakie zamierzam wygłosić, będą dość kontrowersyjne. Mimo bowiem, iż mam mówić prawdę o Prawdzie, zasadniczym przesłaniem mojego wykładu będzie – pozornie nielogicznie i niepedagogicznie – *pochwała fałszu*, a w każdym razie jego dowartościowanie.

Ale właśnie fałszu, nie kłamstwa, bo to zupełnie różne sprawy, jako że kłamiąc można mówić prawdę, a nie kłamiąc – wygłaszać sąd fałszywy. Jest tak dlatego, że kłamstwo jest kwalifikacją *intencji* mówiącego, podczas gdy prawda i fałsz od niczyich intencji nie zależą – przynajmniej przy klasycznym (zwanym też korespondencyjnym) rozumieniu prawdziwości jako zgodności myśli z obiektywną rzeczywistością.

Krótko to rozumienie streszczając: 1. Nośnikami prawdziwości są wytwory poznawcze mające formę zdań, a nie nazw czy predykatów, przy czym chodzi o zdania opisowe, a nie np. rozkazujące czy normatywne. 2. Prawda to pewna kwalifikacja myśli z uwagi na stosunek, w jakim ta myśl pozostaje do obiektywnie istniejącej rzeczywistości. 3. Jeśli coś o czymś twierdzę, i jest tak jak twierdzę, powiedziałem prawdę; jeśli nie jest, moje twierdzenie jest fałszywe.

Kiedy mowa o klasycznej koncepcji prawdy, tym samym zakłada się, że są jakieś inne, „nieklasyczne”. W istocie, często się w tym kontekście wspomina o koncepcji koherencyjnej, ewidencyjnej, pragmatycznej... Otóż proszę temu nie wierzyć, to bezzasadne uzurpacje – jest tylko jedna koncepcja prawdy, właśnie ta klasyczna (choć może

mieć ona różne wykładnie). Wszystkie pozostałe, to tylko pomocnicze – niewykluczające się, lecz uzupełniające – propozycje *kryteriów* prawdy, jako że sama prawdziwość jest zasadniczo – jeśli wyłączyć banalne przypadki – własnością nieoperacyjną, bezpośrednio nierozstrzygalną, gdyż odwołuje się do zgodności z obiektywną rzeczywistością, która jako taka jest nam wszak niedostępna. Nie możemy więc stwierdzić tej definicyjnie wymaganej zgodności, bo cokolwiek o rzeczywistości wiemy, wiemy dzięki poznaniu, którego miernik próbujemy właśnie dopiero ustalić. Krótko mówiąc, powstałby błąd *petitio principii*. Stąd bierze się potrzeba kryteriów.

Argumentem na rzecz tezy, że wspomniane „nieklasyczne” ujęcia nie są to ujęcia konkurencyjne względem klasycznego, może być fakt, że kiedy ich autorzy argumentują na rzecz swego stanowiska, to zakładają w swych wywodach ów sens klasyczny, bo przecież chcą, aby ich rozumieć dosłownie – że jest tak, jak głoszą. A to właśnie jedna z formuł używanych dla wysłowienia koncepcji klasycznej. Podważając koncepcję klasyczną w teorii, stosują ją zatem w praktyce, a tym samym przeczą sami sobie.

Z drugiej strony, sam termin „prawda” wprowadzono właśnie jako wyraz idei zachodzenia stosunku zgodności tego, co się twierdzi, i tego co jest; nie można więc bez zmiany znaczenia proponować określeń alternatywnych, bo mówi się wówczas o różnych rzeczach. Słowa są wtórne względem tego co wyrażają, tj. względem swego znaczenia, tj. pewnych idei. Przecież nie jest tak, że najpierw tworzymy jakieś słowo, a następnie nadajemy mu znaczenie; jest akurat odwrotnie.

To jednak, że znaczenie jakiegoś terminu jest ustalone, wcale nie oznacza, że wszystkie kwestie z nim związane są jasne, czego przykładem jasny jak Słońce termin „światło”.

Tak właśnie jest w naszym przypadku, nie bardzo bowiem wiadomo (nie jest jasne), na czym może polegać *zgodność* pomiędzy tak odmiennymi elementami, jak myśli z jednej, i rzeczywistość (np. fizyczna) z drugiej strony. Co więcej, można wręcz kwestionować samą *możliwość* zachodzenia jakiegokolwiek sensownego stosunku pomiędzy tak niejednorodnymi, niewspółmiernymi elementami.

Do trudności tej powrócę jeszcze pod koniec wykładu.

Natomiast wracając do pary „prawda – kłamstwo”. W ramach tego przeciwstawienia „prawda” to tyle, co sąd *uznawany przez kogoś* za prawdziwy, tj. czyjeś *subiektywne przekonanie*. To w tym – i tylko w tym – sensie prawo nakazuje świadkowi w procesie mówić „prawdę i tylko prawdę”, tj. nie kłamać i nie zatajać tego, co świadkowi wiadomo. W tym i tylko w tym sensie mówi się o *prawdach wiary*, które de facto nie są niczym innym, niż *dogmatami* wiary, których prawdziwość z istoty swej nie może być okazana – nie wiadomo więc, czy są one prawdziwe. W tym i tylko w tym sensie mówimy o kimś, że jest *prawdomówny*, że „żyje w prawdzie” itp.

A czyż trzeba dodawać, iż to, że ktoś coś uważa za prawdę, wcale prawdziwości nie gwarantuje?

Kiedy natomiast mowa o poznawczym *dążeniu do prawdy*, mowa już o *prawdzie sensu stricto*. Tu jednak z kolei trzeba odróżniać cel dążenia od efektów tego dążenia, bo z tymi drugimi różnie bywa.

Uwaga ta prowadzi wprost do zapowiedzianej pochwały fałszu.

Wiedzą Państwo zapewne, że fundamentem logiki są dwa twierdzenia, nazywane nawet *prawami* logiki, mianowicie prawo niesprzeczności i prawo wyłączonego środka, głoszące – odpowiednio – że żaden sąd nie może być zarazem prawdziwy i fałszywy (fałsz jest tu przy tym *definiowany* jako negacja prawdy), i że każdy sąd (w odniesieniu do którego w ogóle kategoria prawdy się stosuje) jest albo prawdziwy, albo fałszywy – nic pośrodku, nic pomiędzy.

Innymi słowy, prawda i fałsz traktowane są w sposób *symetryczny* – co nie jest prawdą jest fałszem, i *vice versa*.

Cóż, proszę Państwa, może i logika ma jakieś swoje racje, by tak twierdzić, niemniej wpuszcza nas tu ona w „maliny”, bo w rzeczywistym poznawaniu o żadnej symetrii mowy być nie może.

Oto bowiem *asymetria* pierwsza. W interesujących poznawczo przypadkach – tj. na poziomie myśli teoretycznej, a nie np. wtedy, kiedy pytamy, czy Azorek ma cztery łapy – najczęściej nie wiadomo, co jest prawdą. Możemy natomiast wiedzieć z pewnością, że jakiś sąd jest fałszywy. Ale przecież nie znaczy to, że tym samym wiemy też, co jest prawdą w danej sprawie, bo zaprzeczenie owego fałszu będzie wprawdzie sądem prawdziwym, ale będzie to prawda jałowa, negatywna, nieposzerzająca wiedzy, prawda w rodzaju „pada lub nie pada”, mająca zerową zawartość informacyjną. Cóż na przykład z tego, że wiem z pewnością, iż źródłem energii słonecznej nie jest spalanie słomy; chodzi wszak o ustalenie, co nim jest, a nie, co nie jest.

Prowadzi to do drugiej asymetrii. Prawda – w danej kwestii – może być tylko jedna, fałszów zaś możliwych jest „skolko ugodno”. Fałsz bowiem to nie tylko negacja jakiegoś sądu prawdziwego, to wszystkie *pozytywne* sądy z nim w danej sprawie niezgodne. Aby sięgnąć po pierwszy lepszy przykład: skoro prawdziwy jest sąd „Warszawa jest stolicą Polski”, to fałszem jest nie tylko stwierdzenie „Warszawa nie jest stolicą Polski”, lecz każde zdanie typu „X jest stolicą Polski”, gdzie zmienna X przebiega zbiór miast różnych od Warszawy. Zbiór fałszów jest zatem o wiele obszerniejszy niż zbiór prawd.

Oto więc mój pierwszy krok ku pochwałę fałszu: fałsz, rozumiany jako *negacja* prawdy, nie jest bynajmniej *przeciwieństwem* prawdy; jest on jej *dopełnieniem* do uniwersum wchodzących w grę pozytywnych – tj. twierdzących, a nie przeczących – sądów.

Aby uczynić krok następny, bardziej radykalny, rozważmy kwestię nieco bardziej zbliżoną do praktyki badawczej. Załóżmy, że mamy określić wiek jakiegoś wykopaliska paleontologicznego, i przyjmijmy dla dobra argumentacji, że ma ono równo milion lat. Załóżmy też, że w wyniku odmiennych procedur badawczych sformułowano w tej sprawie trzy domniemania – że znalezisko to ma tysiąc, sto tysięcy, i dziewięćset dziewięćdziesiąt tysięcy lat. Ponieważ przyjęliśmy, że ma ono milion lat, wszystkie te domniemania są fałszywe, choć ich wartość poznawcza jest przecież różna – pierwsze jest bardzo dalekie od prawdy, ostatnie zaś bardzo bliskie. Można zatem mówić o *zbliżaniu się* do prawdy – *poprzez fałsze*.

Z epistemologicznego zatem punktu widzenia, tj. z punktu widzenia wartości poznawczej – a nie z punktu widzenia tzw. wartości logicznych – fałsz fałszowi nierówny.

Tymczasem jeśli przyjąć za dobrą monetę wspomniane wyżej prawa logiki, za fałszywą uznać musimy *na równi* teorię Ptolemeusza, jak i Kopernika; zarówno fizykę Arystotelesa, jak i Newtona; zarówno teorię preformacji, jak i darwinowską teorię ewolucji. A ponieważ w nauce nie ma niepodważalnych dogmatów i stale czyni ona postępy, często przy tym poddając rewizji wcześniejsze ustalenia, to z dużym prawdopodobieństwem prawie cała nasza wiedza teoretyczna jest fałszywa.

W tej sytuacji wręcz obskurantyzmem byłoby nie pochwalanie fałszu. Oczywiście, nie każdego fałszu, lecz fałszu sensownego, poznawczo wartościowego, rozwiązującego jakieś problemy, co może polegać na wysokim stopniu potwierdzenia, mocy eksplanacyjnej, przewidywczym, spójności itp.

Oto i sens mojej pochwały fałszu.

Ale dowartościowanie fałszu może iść jeszcze dalej. Odpowiednia argumentacja byłaby wówczas następująca: prawda to ani nie *przeciwieństwo* fałszu, ani nie jego *negacja*, lecz *graniczny przypadek* fałszu. A więc – *horrible dictu!* – pewna *odmiana* fałszu. Podobnie bowiem, jak miast traktować *spoczynek* jako przeciwieństwo *ruchu*, można potraktować go jako szczególny przypadek ruchu (mianowicie jako ruch z pewną prędkością graniczną, równą zeru), tak i prawdę można potraktować jako szczególny przypadek odpowiednio zmodyfikowanego – tj. niedefiniowanego już jako negacja prawdy – fałszu. A wówczas prawda może *zawierać się* w fałszu.

Tu przyda się pewien komentarz, a właściwie dwa.

Po pierwsze, tę ostatnią wersję należy odróżnić od Popperowskiej idei *verisimilitude* („podobieństwa do prawdy”), też wprawdzie wprowadzającej pojęcie zawartości prawdy w fałszu, ale jednak utrzymującej w mocy inkryminowane wyżej prawa logiki. (Popper stwierdza bowiem: „Pogląd, wedle którego każde zdanie czy teoria jest nie tylko albo prawdziwa, albo fałszywa, ale niezależnie od swej wartości logicznej odznacza się pewnym stopniem podobieństwa do prawdy, nie prowadzi do żadnej logiki wielowartościowej, to jest do systemu logiki o większej liczbie wartości logicznych niż dwie – prawda i fałsz”).

Oto przykład, jakim Popper się posługuje: jeśli powiem, że „*zawsze* leje w niedziele”, jest to oczywiście sąd fałszywy, bo zdarzają się wszak niedziele bez deszczu. Niemniej, ten fałszywy sąd pośród swoich *konsekwencji logicznych* zawiera prawdziwy sąd, że w *niektóre* niedziele leje. Według Poppera można to uznać za zawartość prawdy w fałszu. Jak stąd widać, Popper zakłada pierwotność (nadrzędność) logiki nad epistemologią, w swym epistemologicznym pojęciu *verisimilitude* odwołuje się wszak do pojęcia wynikania logicznego.

Proszę też – po wtóre – zauważyć, że uchylenie prawa wyłączonego środka, jak to ma miejsce w logikach wielowartościowych, nic nowego w sprawie pojęcia prawdy i stosunku wzajemnego pojęć prawdy i fałszu nie zmienia – vide propozycja Łukaszewicza logiki trójwartościowej, wprowadzającej po prostu trzecią wartość logiczną – *neutrum*, czy oparcie logiki na ideach rachunku prawdopodobieństwa, dopuszczających

wszystkie stadia pośrednie pomiędzy zerem (które zwykle symbolizuje fałsz) i jedynką (symbolizującą prawdę), bo dotyczą one nie prawdziwości *sensu stricto*, lecz prawdopodobieństwa bycia prawdziwym, zaś samą prawdziwość bądź rozumie się tu tradycyjnie, bądź w ogóle się o niej nie wspomina, mówiąc jedynie o wartościach logicznych.

Tymczasem według mnie chodzi o to, aby tę pewowinę łączącą epistemologię z logiką przeciąć – w imię *racjonalności* – dając w zamian teorii poznania podstawy *ontologiczne*.

Cóż więc jest prawda – spytam na zakończenie, używając frazy Piłata – jest-li czymś rozłącznym ze zbiorem fałszów, czy nie jest?

Według mnie nie jest.

Moje stanowisko w kwestii prawdy można określić jako *ontologizację* prawdy, bo nośnikiem prawdziwości czyni ono pewnego rodzaju byty przedmiotowe, zasadniczo różne od wytworów poznawczych typu zdań czy sądów. Niemniej zachowuje ono ducha koncepcji klasycznej, bo definiuje prawdziwość w relacji do obiektywnej rzeczywistości.

Aby dać Państwu wyobrażenie na czym to może polegać, proszę zauważyć, że predykatu „prawdziwy” używamy często w sensie czysto przedmiotowym, mówiąc na przykład o prawdziwym brylancie (w odróżnieniu od sztucznego), o prawdziwej przyjaźni czy prawdziwej miłości (w odróżnieniu od udawanej czy pozornej). Tutaj *prawdziwy* znaczy tyle, co *autentyczny* bądź *rzeczywisty*, a opozycją (czyli odpowiednikiem fałszywości) jest pozór, urojenie, sztuczność, podszywanie się, podróbka. Łącznie te negatywne określenia dobrze – według mnie – wyraża słowo „wirtualny”, rozumiany tak, jak w frazie „rzeczywistość wirtualna”.

Ontologiczną wykładnią pojęcia fałszu może być zatem pojęcie rzeczywistości wirtualnej. Natomiast „prawda” (w proponowanym przeze mnie rozumieniu) to pewien fragment rzeczywistości wirtualnej – taki mianowicie, który pozostaje w relacji pewnego morfizmu do rzeczywistości *tout court*. Mamy tu więc relację między dwoma rodzajami czy typami rzeczywistości, a tym samym wspomniany wcześniej problem niewspółmierności znika.

Dla bliższej eksplikacji proponowanej koncepcji niezbędne jest wprowadzenie semantycznego pojęcia *wyznaczania*, jako odróżnionego od *znaczenia* i *oznaczania*.

Znaczeniem jakiegoś wyrażenia jest jego zawartość informacyjna. Tym co oznaczane przez to wyrażenie jest z kolei coś (przedmiot, zdarzenie, stan rzeczy), do czego dane wyrażenie mocą swej zawartości informacyjnej odsyła, o czym coś mówi czy stwierdza, przy czym ów przedmiot musi istnieć niezależnie od tego wyrażenia, a więc musi być niezależny od danej sytuacji znakowej. Chodzi więc o przedmiot zewnętrzny względem sytuacji znakowej, istniejący „o własnych siłach”.

Otóż przy pojęciu *wyznaczania* uchylamy ten warunek, chodzi bowiem wówczas o przedmiot *własny* znaku jako określony (scharakteryzowany) przez jego znaczenie, tj. przez jego zawartość informacyjną. Rozważmy na przykład następujące zdanie: „Otello udusił Desdemonę powodowany zazdrością”. Zarówno przywołane tu osoby, jak i zdarzenie, nie istniały – o ile mi wiadomo – obiektywnie, powołał je do życia Szekspir swym

nieśmiertelnym dramatem. Zatem zarówno imiona w tym zdaniu występujące, jak i całe zdanie, niczego nie oznaczają. Niemniej, wypowiadając to zdanie, o czymś wszak mówimy – właśnie o pewnej rzeczywistości wirtualnej, bo ukonstytuowanej na bazie odpowiednich informacji (w tym przypadku czerpanych z dramatu Szekspira – ale nie tylko, wszak Szekspir nie musiał wyluszczać, co znaczą takie terminy, jak „mąż”, „żona”, „zazdrość” itp.; inaczej mówiąc, przy wspomnianej konstytucji należy też uwzględnić całe „dobrodziejstwo inwentarza”, całą „wiedzę zaplecza”).

Ale nie chodzi bynajmniej tylko o fikcje literackie; pojęcie wyznaczania dotyczy wszelkich wypowiedzi, w tym również hipotez naukowych. Jeśli są one prawdziwe, to stwierdzają coś o czymś, co istnieje niezależnie od nich (a więc o czymś przez siebie *oznaczanym*). Jeśli zaś nie są, jest tak bądź dlatego, że mówią o czymś co wprawdzie istnieje, ale jest inne niż to głosi hipoteza, bądź dlatego, że odpowiedni obiekt w ogóle w świecie realnym nie występuje. Przykładem z dziejów nauki mogą być hipotezy postulujące istnienie flogistonu, cieplika, eteru itp; niewykluczone też, że takiż charakter ma współcześnie żywo dyskutowana hipoteza mówiąca o tzw. cząstce Higgsa. Niemniej, niezależnie od tego, czy są one, czy nie są prawdziwe, o czymś przecież mówią, mają swój własny, dobrze określony przedmiot. Jest to właśnie przedmiot przez nie wyznaczony, czyli pewna rzeczywistość wirtualna.

Zarówno rzeczywistość wirtualna, jak i rzeczywistość po prostu, to pewne *zbiory*. Jeśli przy tym jest tak, że pomiędzy tymi zbiorami zachodzi pewna odpowiedniość o charakterze morfizmu (tj. przyporządkowania zachowującego jakieś relacje pomiędzy elementami tych zbiorów), wówczas można powiedzieć, że owa rzeczywistość wirtualna, wyznaczona przez jakieś twierdzenie – i wszystkie sądy, które to twierdzenie zakłada jako swe przesłanki – jest *prawdziwa*, co oznacza, że można ją – z dokładnością do pewnego morfizmu – utożsamić z pewnym fragmentem świata realnego.

Tym samym, ponieważ owa rzeczywistość wirtualna jest wyznaczona przez pewne formuły językowe, prawdziwe są również same te formuły. Ale prawdziwość formuł jest okolicznością wtórną, właściwym nośnikiem predykatu „prawdziwy” jest pewna rzeczywistość wirtualna, którą – jak wskazałem wcześniej, można potraktować jako ontologiczny synonim fałszu.

A zatem prawda jest szczególnym przypadkiem fałszu.

Na koniec uwaga w charakterze puenty.

Przypomnę, że tytuł mojego wykładu to *Kilka prawd o Prawdzie*. Jak widać, słowo „prawda” występuje w nim dwukrotnie, i to każdorazowo w różnym znaczeniu. Zgodnie z tym co powiedziałem wcześniej, te pierwsze „prawdy” to oczywiście nic innego, niż subiektywne przekonania – w tym przypadku Andrzeja Chmieleckiego. Są to więc być może fałsze.

Cóż, jeśli nawet, to fałsze w rozumieniu tegoż Chmieleckiego, co – jak Państwu starałem się pokazać – nie wyklucza bynajmniej ich prawdziwości.